



Scena zbiorowa

Fot. J. Mąkowski

Scena Wigilii u Gzysmików gwarta, prosta, bez egzaltacji, jest jedną z najpiękniejszych i najważniejszych scen w tym przedstawieniu.

Reszta — to żywiołowy humor i pyszna zabawa. Głównym jej dostarczycielem jest (kto by to podejrzewał) Lech SULLMIERSKI (Alfred Krzywda Kręcki), stylowy wyjadacz salonowy i oszust matrymonialny. Tańczy jak motyl, kłeka jak Don Juan, śpiewa jak Ładysz (to znaczy pełnym głosem) — jak najprawdziwszy wódzirej w dawnej kieleckiej resursie kupieckiej opisanej przez Jerzego Jerzmanowskiego w „Starych Kielcach”. dzielnie i wdzięcznie mu sekunduje para Kłaczków-Kłaczkowskich: Elżbieta BULHAK i Zdzisław NOWICKI, dbając o godność kreowanych postaci, wydobywając z nich wszystko, co śmieszy, tumani i przestrasza. Innego humoru źródłem jest stary Gzysmik safandula i cwaniak — Edward KUSZTAŁ, który otrzymuje huraganowe brawa w czasie niemej sceny z makutą, a co dopiero, gdy się odezwie! Przeciwwagę dla tej postaci stanowi skupiona, zatroskana i zaharowana Katarzyna Gzysmikowa — Janina UTRATA. Ileż ciepła i ludzkiej dobroci bije z tej postaci, a to dla aktorki znacznie trudniejsze zadanie niż podskoczyć i nawet zaśpiewać.

A propos śpiewu. Zespół kieleckiego teatru nie był nigdy i na razie nie będzie do-

Teatr

Publiczność kielecka — ta wierna teatrowi i ta obojętna, czy raczej „okazjonalna” — czekała na taką okazję długo, nawet bardzo długo. Dyrek-

kalny połączony z prapolską obrzędowością bożonarodzeniową? Owszem, ale w Kielcach typowymi kołędnikami byli zawsze urzędnicy skarbowi i kominiarze. Pozostaje

Hej, kołęda, kołęda...

tor Bogdan Augustyniak z konsekwencją realizował polski repertuar klasyczny i współczesny i z taką samą konsekwencją stronił od muzyki lżejszej, której całkowita degrengolada objawia się w farsie. Jakim więc cudem wśliznął się pomiędzy „Turofina”, „Sulkowskiego” i „Tango” „Romans z wodewilu”?

Mogło to być znużenie dostojnością, mógł to być karnawałowy ukłon pod adresem masowego odbiorcy, a mogła zadziałać zwykła kalkulacja księgowego w okresie intensywnego popierania teatru... jego własnymi inicjatywami. Nieważne. Ważne jest to, jak się nad Siłnicą zaaklimatyzowali Kłaczkwowie i Gzysmiki. Wodewil, napisany w Krakowie i dla Krakowa, żyje klimatem tego miasta, archaicznym i zabytkowym jak ono samo. Tylko tam ta banalna ramotka mogła dojść do 300 spektakli! No, był jeszcze Antoni Fertner i Wojciech Ruszkowski. Oglądałem ich w dzieciństwie, co, niestety, nie może pozostać bez znaczenia przy pisaniu tej recenzji.

Gdy po trąbkowym hej-nale poszła w górę kurtyna, nie wiadomo było podczas kieleckiej premiery, kto jest bardziej stremowany i przerażony — wykonawcy czy publiczność: żadnego prawie kontaktu, nie mówiąc już o wspólnej zabawie, której należało oczekiwać. I nagle coś się wydarzyło takiego, że znaleźliśmy się jakby w innym świecie, na innej widowni, w innym teatrze, a temperatura podniosła się do gorączki w finale, kilkakrotnie zresztą bisowanym.

Wątek romansowy — banał. Małżeństwo utalentowanego artysty „z dołów” z córką utytułowanego przywaciarza przestało tracić mezaliansem, zaseregowane zostało w poczet awansu i sukcesu życiowego obu stron. Koloryt do-

zatem uroda samego teatru, magicznej i oszukańczej sztuki przenoszenia widza w czasie i przestrzeni.

Bajkowa i dopracowana w każdym szczególe jest scenografia Iwo DOBIECKIEGO: gdyby na tej scenie nic się nie działo, można by ją oglądać długo w kolorystyce barw i kalejdoskopowości przemian. Ta sama ryba, a w każdej niemal minucie inna, bogatsza, przyciągająca. Nie ma, niestety, podobnej konsekwencji w koncepcji reżyserskiej Danuty JAGŁY, stąd też obserwujemy dwa, równoległe wprowadzenie prowadzone, ale jakby niezależne od siebie wątki: romansowo-konfliktowy i zabawowo-ludyczny. Dopiero w ostatnim akcie następuje (na szczęście!) pożądany mariaż.

Zarówno Renata TUKALSKA (Wanda, córka Kłaczków), jak i Józef JOZEFczyk (Kazimierz, syn Gzysmików) zachowują się jak postacie dramatu zmierzającego ku krwawemu finałowi, a przecież wszystko jest od początku jasne. Zatem przydałoby się, oprócz nienagannej sprawności warsztatowej, trochę dystansu, przymruzenia oka. Postępują (aktorzy i reżyser) zgodnie z literą tekstu, ale to przecież wodewil, nie „Hamlet”. Ale znowu publiczność, której raczej ważniejsze są od wybrzydzenia recenzenta, z całym zaangażowaniem śledzi perypetie sympatycznych kochanków i wrzusza się do łez. Takie jej prawo. Nie sposób jednak przy tej okazji nie zauważyć wpływu teatru na kształtowanie kultury uczuć. Ludzie, o których tak źle piszą w gazetach i mówią w radiu i telewizji, nie zatracili chyba jednoznacznych kryteriów moralnych, skoro tak pięknie reagują na symbolikę więzi rodzinnych, jawnie akceptują dobro i potępiają zło.

bierany pod kątem umiejętności wokalnych, co jakiś czas staje jednak (nie może być inaczej) wobec obowiązku zamianifestowania elitarnych — jak na polskie warunki — umiejętności wydobycia głosu przy wtórze melodii. Różnie to z tym bywało, nie ma powodów do euforii i tym razem. Ale nie ma też powodu do zatykania uszu i spuszczenia głowy, a już duet liryczny Anny SKAROS (Zosia) i Andrzeja CEMPURY (Witold) brzmi przekonująco choć staranniejsza korepetycja nauczyciela śpiewu uczyniłaby go wdzięczniejszym. Aranżacja Zbigniewa Kowalskiego i Jerzego Szczyrby inaczej zapewne by zabrzmiała przy orkiestrze, a nie nagrania biach magnetofonowych, nie byłoby też nieporozumień w tempach. Oszczędności?

W tym spektaklu można albo pochwalić cały zespół wykonawców, albo nie pozostawić na nim suchej nitki. Ponieważ jednak uczestniczyłem w nim przy pełnej, nie pustej sali, ważne jest nie tylko to, co się dzieje na scenie. A widownia nie była i nie będzie rozczarowana. Jaki w tym udział kupletów kieleckich i „Kołady Siłnicznej”? Podobno teksty przyniósł jakiś kielecki „chudy (he, he) literat”. Niechaj dalej pracuje nad sobą ten anonimowy debiutant. Może nawet kiedyś osiągnie jakiś sukces. Ale tylko w wodewilu. Jedno jest pewne: na kilka miesięcy potężna gromada kielczan poprawi sobie chociaż jednego wieczoru samopoczucie. Hej, kołęda, kołęda.

STANISŁAW MIJAS
PS. Publiczności polecam zwrócenie uwagi na przepiękną szopkę, wykonaną w pracowni kieleckiego teatru, a także starannie wykonanie pozostałych elementów scenografii.